

Kaszynski_Tomasz_AW_I_0332

Kaszynski_Tomasz_AW_I_0332_1A

[00:00:00, od początku]

Tomasz Kaszyński: Franciszek rodowity lwowianin. Matka Helena z domu Bapkin. Rodowita wilnianka. Potem brat Marian. Potem siostra Bogumiła i ja najmłodszy Tomasz. Mieszkaliśmy w Białymstoku przy ulicy 29. Mniej więcej od sierpnia. Pamiętam wróciliśmy z wakacji. Dużo mówiło się o wojnie, że ma wybuchnąć wojna. Ludność zbierała się. Zbierali kosztowności, zbierali. Składali się na zakup broni dla wojska. Karabinów maszynowych. Wręczali to przeważnie na rynkach miasta. Miałem okazję być przy takim wręczaniu karabinu maszynowego nawet w Białymstoku na rynku Kościuszki. Wielka uroczystość była. Bo ludzie oddawali praktycznie wszystko. Wierzyli, że Niemiec nie zdoła pokonać Polski. Teraz chciałbym parę słów powiedzieć o ojcu. Ojciec działacz legionowy. Od 16 roku życia był w Orlętach Lwowskich. To organizacja jeszcze działała podziemna, tajna. Później po ukończeniu 18 lat został przeniesiony do Legionów. I już zaczynając od 18 czy 19 roku czynny brał udział w walkach. W bitwie o Lwów. Również brał udział w bitwie o Kijów. Był w Kijowie. No i ewentualnie za ten Kijów zapłacił bardzo wysoką cenę później już. Później kiedy przyszli Sowieci.

Chciałbym jeszcze powiedzieć parę słów porównanie armii polskiej armii do 39 roku, które ja osobiście zapamiętałem. Bo tuż zaraz za naszym budynkiem była wówczas górka ulica Depowa i były koszary 14 Pułk Ułanów. Obecna ulica Wojsk Ochrony Pogranicza czy działki kolejowe tutaj za ulicą Celowniczą to były wszystko tereny poligonowe. Tam ćwiczyła ta kawaleria nasza przedwojenna. Często chodziliśmy jako chłopcy oglądać. Były to piękne konie. Utrzymane ładnie. Żołnierze przyzwoicie ubrani. Wydawało się nam chłopcom, że tak jak rzeczywiście Ułani powinni byli wyglądać. I tak przyszedł dzień 1 września. Jednak ta wojna wybuchła. A jeszcze chciałem tylko. Zapomniałem powiedzieć. Matka Helena zajmowała się nami w domu. Wychowywała nas. Była jako gospodyni domowa.

Joanna Radziwińska: A do których klas chodzili Pana bracia i siostry?

TK: Siostra to już skończyła szkołę handlową tu na Sienkiewicza. Już ukończyła bo to 22 rocznik. Brat rozpoczął szkołę. Szkołę w tej chwili nie pamiętam. Zawodową zaczynał bodajże szkołę. Bo już skończył 7. Bo przed wojną było 7 klas szkoły. Skończył i zdał do szkoły rzemieślniczej. Trudno powiedzieć, nie pamiętam. W każdym bądź razie już zdał

dalej. Natomiast siostra akurat przeszła już do klasy 7 a ja do klasy 6 w 39 roku. I tak rozpoczęliśmy wakacje. I po wakacjach wróciliśmy już do domu. Bo byliśmy we Lwowie u ojca rodziny. Później byliśmy jeszcze w Wilnie u matki rodziny z kolei. Tak przeważnie...

[00:05:00]

TK:... spędzaliśmy wakacje. Albo we Lwowie albo w Wilnie. Albo w jednym i drugim jednocześnie. To znaczy 2 tygodnie tu i 2 tygodnie tu. Ojciec był maszynistą kolejowym. Bardzo dobrze zarabiał. Nam się dobrze powodziło przed wojną. Właściwie nie znaliśmy ani biedy, ani głodu ani żeby nam tam jakiś ubrań brakowało czy czego. Tego nie było mowy być nie mogło. No a jeszcze działacz legionowy. Cieszył się dużym zaufaniem wśród kolegów, wśród pracowników. W ogóle wśród i w rządzie nawet tam w Warszawie. Bo często prowadzał jak to nazywali prowadzał pociągi ekspresowe. Nawet Mościckiego i Goeringa wiozł swoim parowozem do puszczy na polowanie. To ojciec prowadził ten parowóz. Tak, że miał zaufanie. I już jak wybuchła wojna 1 września. Nas zastała normalnie w Białymstoku. W pierwszych dniach to specjalnie nic się nie działo. Nie pamiętam w jakich to dniach był pierwszy nalot na Białystok. Ale miasto same nie było bombardowane. Był bombardowany tylko dworzec i węzeł kolejowy tzw. Czyli parowozownia. Parowozownia mieściła się dalej przy wiosce Starosielce. Bo obecnie ona jest przy górze: Górka Makala tzw. tutaj. Ale to już wybudowali ją Niemcy. Bo ta przedwojenna to była za tunelami w kierunku wieś Satrosielce. Bo takie jest po lewej stronie torów. A po prawej Starosielce. To tam była parowozownia. To tam pierwszy nalot właśnie był na parowozownię. No i wtedy przeżyłem właśnie te pierwsze bomby, pierwsze wybuchy, rumoty. No pamiętam to był olbrzymi szok. Uciekali każdy z domu, bo to wiadomo w pobliżu to wszystko domy, poza jedną murowanką, to wszystko były domy drewniane. Niemcy rzucali bardzo dużo bomb zapalających. Mniej może burzących ale zapalających. Specjalnych szkód w naszym domu akurat i w pobliżu nie było. Potem było pamiętam jeszcze jedno bombardowanie. I gdzieś w pierwszej połowie września Niemcy wkraczali do Białegostoku. Szli tutaj od Starosielce poprzez tunele. Szosą Południową w kierunku Zwierzyńca. To znaczy mówię szli to raczej jechali. To jednak też zrobiło olbrzymie wrażenie. To szła lawina stali i olbrzymia potęga. Tak sobie przypominam takich działań nie widziałem ani w wojsku polskim ani rosyjskim. Tylko Niemcy mieli olbrzymie działa. Niemcy. Była piękna, słoneczna pogoda. Upał był dosłownie. Niemcy w tych drelichach. Rękawy zakasane byli. Pięknie byli. Ładnie ubrani, wypoczęci, wygoleni, uzbrojeni w jak to się mówi po zęby. To nie to co nawet polskie wojsko. Bo polskie wojsko to był konik, szabelka. To co ja oczywiście pamiętam. Bo w Białymstoku innych wojsk nie było. Ani

lotnictwa ani pancernych wojsk nie było. Tylko kawaleria była. Natomiast Niemcy to wszystko jechali samochodami, ciągnikami. Czołgów co prawda nie było. W tym czasie nie jechały one jak zajmowali Białystok. Tylko artyleria. No i byli. Nie wiem ile oni tam byli. Z tydzień, 10 dni Niemcy. Stosunek do nas. Tutaj na Grunwaldzkiej ulicy jest szkoła numer 2. To była oddana przed wojną do użytku. Nowa szkoła. Nie wiem w 1938 roku bodajże. I tam właśnie zakwaterowali się Niemcy. Myśmy dla ciekawości jako chłopcy polecieeli raz i drugi. To ciekawe. Już oni wtedy Niemcy mieli w sobie to żeby naród polski a szczególnie młodzież rozpijać, jakoś prowadzić do...

[00:10:00]

TK:... degradacji. Podawali nam np. cygara do palenia. Człowiek nigdy w życiu nie palił. Dawali wódkę do picia, kto ile chciał. I potem śmieli się z nas jak to tam nie jeden się napalił i wręcz no wymiotował. A dla nich to była. Oni robili zdjęcia. Dla nich to była uciecha. To była po prostu degradacja narodu polskiego. Już wtedy było nastawienie takie. Co oczywiście my jako dzieci o tym wtedy nie wiedzieliśmy. No i tak przeszły tam tydzień czy półtora. Tam jeden Niemiec tam przyszedł do nas na podwórko. Napić się wody. Prawdopodobnie Czech, bo tak trochę zaciągał z czeska. Z Czechosłowackiego językiem, takim czeskim. I mówił, że: *tutaj będzie Ruś. Że oni odstępują.* To już można było zrozumieć. W każdym bądź razie matka w miarę rozumiała niemiecki język. I mówi każdy był zdziwiony. No ale pięknego poranka, w drugiej połowie chyba września. Wstajemy rano. Okna wychodziły nasze na podwórko i na ulice, czyli na tą Szosę Południową. A jakże przed oknami na szosie stoi szkapinka, konik taki i żołnierz radziecki. Papacha jakaś duża na głowie. Peleryna taka czarna z ramion takie Aala jak to kiedyś pokazywali Czepajew taki z tego filmu, to taki. Szabla długa. To była jakaś taka no straszna. No straszna. W porównaniu z żołnierzem polskim powiedzmy przedwojennym. W porównaniu z uzbrojeniem i żołnierzem niemieckim to była już taka biedota. No nie było na co patrzeć. Koń zaniedbany, brudny, jakiś łachmaty. Prawdopodobnie to były konie te azjatyckie, stepowe konie, bo to były bardzo wytrzymałe, małe konie. No ale my, nasi chłopcy Polacy byli przyzwyczajeni do koni pięknych, rasowych koni a nie takich jakiś tam pół osłów. I tak się zaczęła nowa droga, nowy etap nas Polaków w 1939 roku. Zaraz wkrótce gdzieś pod koniec października został aresztowany ojciec. Oczywiście, tak jak wspomniałem, za obronę Lwowa i za Kijów. Aresztowali i przeżyliśmy pierwszą zaraz rewizję w domu. To trudno wyobrazić sobie czy wyrazić jakimikolwiek słowami. Jak to wpadało te NKWD i przewracało, szukało. Ale jak tylko znaleźli zdjęcia z Legionów, odznaczenia ojca. Bo ojciec był odznaczony był krzyżem

walecznych. Ponad 7 chyba odznaczeń wojskowych różnych miał. I dokumenty te legionowe. Właściwie rewizja na tym się skończyła. Z początku ojciec siedział tutaj, most przejściowy co jest przy Świętego Rocha na drugą stronę torów jak się idzie. I zaraz jak się schodzi z mostu, po prawej stronie budynek murowany. To tam mieściło się NKWD. Kolejowe NKWD. I tam ojciec jakiś siedział czas. Później stamtąd już pod koniec roku przenieśli do więzienia na Szosę Południową. I stamtąd właściwie ślad już zagał. Później nie wiedzieliśmy gdzie co i jak. Po aresztowaniu ojca mniej więcej pod koniec października 1939 roku cała nasza rodzina tzn. 4 dzieci i matka zostaliśmy już bez środków do życia. Wiadomo to nawet i w Polsce w 1939 roku nikt nie miał zapasów żywności. No oczywiście tam tydzień, dwa to można było jakoś tam przeżyć. Ale pieniędzy już też nie było. Żywności nie było. Trzeba było się rozglądać za pracą. Pamiętam, że matka...

[00:15:00]

TK:... dostała pierwszą pracę. To ja poprzednim razem nie wspominałem, bo nawet zapomniałem. W fabryce obcasów. To jest na Sosnowej tutaj, gdzie obecnie mieści się Muzeum Techniki. W tym budynku. A po drugiej stronie są szarytki wybudowane. Na przeciw szarytek tam. Tam była fabryka obcasów, drewnianych obcasów. Tam matka pracowała. Tam dostała pierwszą pracę. Już oczywiście za Sowietów. To już była władza radziecka. Sowietci rządili. Pracowała tam bardzo krótko. Trudno mi powiedzieć. Nie wiem dlaczego. Czy dlatego matkę zwolnili bo nigdy w życiu nie pracowała nigdy, a co dopiero tam przy szlifierkach i szlifować te obcasy drewniane. Czy może matce to nie odpowiadało. W każdym bądź razie straciła tę pracę i nie pracowała. I później dostała się do koszar, do 14 Pułku, tzn. byłego, przedwojennego. A tam już były wojska rosyjskie. I tam dostała się do kuchni. Pomoc kuchenna. Tam sprzątała, myła talerze, chyba kartofle obierała. No tak jak tego. I to nas właściwie w pewnym sensie nieźle ustawiło. No bo zawsze jakieś tam kromki chleba pozostałości przyniosła do domu. Pozwalano matce jakiś garnek pozostałości. Wziąć garnek, jakąś zupę przynieść do domu. W każdym bądź razie było źle, ale nie było już głodu. I wtedy właśnie nam się wydawało, że to jest źle, że to już jest bieda, że co będzie dalej. Ojciec nie wiadomo. Straciliśmy od ojca wszelki kontakt. Jak już wspominałem z więzienia jak wywieźli w niewiadomym kierunku. Przynajmniej dla nas nic nie byliśmy powiadomieni. Dopiero po latach już jak ojciec wrócił wiedzieliśmy cały szlak, ale na razie nie wiedzieliśmy nic. I tak przeżyliśmy pierwsze Boże Narodzenie, grudzień, pierwszy Nowy Rok. I tak dożyliśmy, przeżywaliśmy do pamiętnego dnia 13 kwietnia. Nie zdając sobie w ogóle sprawy, że to co doszło do tego kwietnia, te nasze przeżycia zdawałyby się straszne, tragiczne, to były

niczym co miało nastąpić. I tak nastał dzień, świt raczej 13 kwietnia 1940 roku. Trudno mi powiedzieć w tej chwili dokładnie, która to była godzina. Gdzieś między 3 rano a 4. Tak myślę, że. Dokładnie nie pamiętam. Olbrzymi stuk, łomot w drzwi. Wręcz o mało nie zostały wywalone te drzwi. I: *otwierać natychmiast i jak najszybciej*. Pozrywaliśmy się tam matka dzieci tzn. nas czworo. Wpadło ich bodajże 6 NKWD-zistów. Mieli w ręku spis. Tam jakiś starszy. Nie wiem jakiej randze, nie pamiętam, sprawdzał tylko nazwiska. *Kaszyńska Helena, Kaszyńska Emilia, Kaszyński Marian, Kaszyńska Bogumiła i Kaszyński Tomasz. Tak, tak* potwierdzili. *Zbierajcie się, będziecie wywiezieni. Ubierać się wszyscy*. Każdy dostał swojego Anioła Stróża. Jeden czy bodajże dwóch było na zewnątrz żeby nie można było uciec. Bo nasze jedyne mieszkanie. Ten dom jeszcze dziś stoi. To z naszego mieszkania było wejście od podwórka i można było wyjść poprzez 3 pokój, można było wyjść na zewnątrz, od razu na Szosę Południową. To tylko była ta część domu, która miała dodatkowe wyjście z tego mieszkania. Matka zaczęła się pakować. Czy my jako dzieci tam niby pomagać. Co tam można było wziąć. W tej chwili to nie...

[00:20:00]

TK:... bardzo pamiętam. Nie wiem. No to przede wszystkim ubraliśmy się tak trochę lepiej. W lepsze ubrania. To każdy z nas już matka dopilnowała. No przede wszystkim pościel zawiązała w węzełek, tam poduszkę, jakąś kołdrę. Jakies ubrania cieplejsze, jakieś sweterki. Trochę żywności co było w domu. Aha pamiętam, że wzięła główkę od maszyny, bo miała maszynę. Umiał szyć. Singerowską. Samą główkę, nóg nie wzięła. No i tak żeśmy zdawałoby się spokojnie się pakowali. Później już po jakimś dość długim czasie ten starszy stopniem NKWD powiedział do matki żeby brała rzeczy najbardziej potrzebne do życia, które mogą się przydać, bo mamy mieszkać już zawsze w Rosji. Czyli w Związku Radzieckim. No i tak się tak, pakowaliśmy się. I płacz i lament. Ale tak jakoś, jak to była cała rodzina. Nas 4 dzieci i matka tak pokiwaliliśmy sobie między sobą, tak się pakowali, chodzili dość spokojnie to się odbywało. Bo nie zdawaliśmy się prawdopodobnie sprawy, a my dzieci w szczególności. Chociaż siostra, brat już tam byli dużo starsi ode mnie. Aż do chwili kiedy już powstał dzień. Już widno było, bardzo widno. I z naszych okien. Też nie pamiętam, kto pierwszy zauważył i krzyknął: *że wiozą Państwa Miłasiewiczów*. A to kiedyś myśmy u nich, jeszcze wcześniej mieszkali. Ich dom stał również na Szosie Południowej i róg Bema. On Pan Miłasiewicz był, pracował w więzieniu białostockim. Myśmy tam kiedyś u nich mieszkali i bardzo dobrze stąd znaliśmy. Potem ktoś zauważył, że jeszcze następny samochód, kogoś tam wiozą. Oczywiście wszystko w kierunku, z miasta w kierunku tuneli. Bo tutaj był wjazd między tunelami na

rampy. Tu były ładowane wagony przed wojną. I wtedy właśnie. No matka co tu kryć, po prostu dostała szoku. Co już było zapakowane zaczęła wyrzucać. My jako dzieci nie, po prostu nie wiedzieliśmy, co z tym fantem w ogóle robić. Później włączyli się to już żołnierze. Podjechała samochód. Ten starszy NKWD-sta i tego to nawet pomagali i wtedy przyspieszyli to wszystko. Szybko, szybko ładować się na samochód. Każdy te swoje tobołki. Wsadzili nas na samochód. To co matka wyrzuciła s powrotem do mieszkania to wyrzuciła, czego nie wzięła to nie wzięła. I nas załadowali i powieźli właśnie. To było nie daleko. No bo od Południowa 55 a tunele. No to jest spacerek. I zawieźli nas samochodem. Stał już olbrzymi transport. Nie wiem ile tych wagonów było 40 czy czterdzieści kilka. I podwieźli pod wagon. To były wagony towarowe. Tak zwane cielące jeszcze kiedyś taka nazwa była. Oczywiście były kraty w oknach, okratowane. Były przegrodzone jeszcze. Poziom był w wagonach. Były zrobione takie te prycze tzw. Takie dwupoziomowe te wagony zrobili z desek poziomych. Kto na dole był, kto na górze. Po lewej i po prawej stronie. I tak ładowali aż do pełnego wagonu. W tej chwili nie pamiętam ile nas w wagonie było. Wydaje mi się, że minimum około 30 osób z tymi bagażami. Dzieci, kobiety, starszanki. W każdym bądź razie w naszym wagonie jako takich mężczyzn nie było. Najstarszy to był chyba mój brat - 24 rocznik. No i tam jeszcze takich paru zdaje się chłopców było starszych. Ale jako takich mężczyzn w ogóle nie było. Tylko żeś kobiety i dzieci. I jak już zapelnili ten wagon.

[00:25:00]

TK:... To ten wagon zamknęli. I koniec. I tak żeśmy pewnie stali aż do wieczora. Wieczorem już jak załadowali oni wszystkie wagony. Tych ludzi nawieźli. Załadowali te wszystkie wagony. Konwojenci zajęli swoje miejsca i pociąg ruszył. Tutaj nie wiele pamiętam. Nie wiele jest w ogóle coś może i nie warto nawet i pamiętać, bo nie ma wiele do powiedzenia. To się wszystko działo w zamkniętym wagonie. Duszno. Pomimo, że to był kwiecień. Parno i smród. Przecież sprawy fizjologiczne, ludzkie trzeba załatwiać. I dzieci i starcy. To dali takie wiadro. Później tam kobiety jakieś zrobili zasłonę z koca, żeby przynajmniej w miarę swobodnie można było załatwić się do tego wiadra. I to wszystko stało tak aż gdzieś tam około. Trudno powiedzieć ile, po jakimś czasie. Mniej więcej raz dziennie, raz na dobę pociąg stawał. I pozwolono takie wiadro wylać. Całą drogę to też poza kipiетką jak oni to nazywali, czyli gotowaną wodą, to nic nie dawali. Każdy miał ewentualnie trochę prowiantu swojego i tak żył. Bodajże raz czy dwa tam jakąś zupę dali. Kapusty. Kapustę, jak to oni nazywają ści. A ja to żartuję, że to jest wiadro wody i liść kapusty. To jest ichna zupa ści czyli kapusta. W takiej tej monotonii, tym smrodzie na każdym końcu wagonu stał żołnierz z karabinem.

Wagony praktycznie otwierali, tak jak wspomniałem, raz na dobę, tylko do opróżniania wiader. Ale nikogo z wagonu nie wypuszczali do rozprostowania nóg. W wagonie stać nie było gdzie. Dzieciaki to musiały po prostu na tych pryczach tam leżeć, bo stać nie było miejsca. I tak myśmy jechali. Jedynie jakąś taką. Większe jakieś przeżycie i może nie zatarte wrażenie na mnie osobiście, to jak przejeżdżaliśmy Uralskie góry. Nawet dziś nie wiem dokładnie co to było. To była noc, na pewno noc. Ale dla mnie to jest tak, jakby to była noc polarna. Tylko ja sobie zdaję sprawę, że na tej szerokości geograficznej to nie mogła być noc polarna. Ale takie odnosiłem wrażenie i takie mam dziś przekonanie, że to była noc jasna. Bo pójść wyżej troszkę koło jakieś 300 km na północ to były noce polarne, które zresztą później mi ojciec opowiadał. To było dosłownie 6 miesięcy dzień i 6 miesięcy noc. Tam praktycznie jako takiej nocy nigdy nie było. Tylko tak słońce wschodziło do horyzontu i tak praktycznie ono stało. Ale to tutaj nie. To myśmy przejeżdżali góry Uralskie na wysokości Ufy. Ufa. To jest dość duże miasto. Bardzo przemysłowe miasto. To coś w rodzaju naszych Katowic. Widziałem te wielkie piece, te iskry, te oświetlenie. Bo to było widać. I same góry, skały. Skały przeważnie. Ponieważ jak wspomniałem, że to była noc, ale to było wyraźnie widać. Skała czerwona. Te tory to były takie wyrąbywane miejsce w tych górach żeby pociąg, te tory można było ułożyć. Do góry prosto pionowe ściany z czerwonego kamienia. To były właśnie Uralskie góry. To jedyne takie wrażenie, takie niezapomniane zostało. Zresztą to już wtedy, wydaje mi się, nie jestem bardzo pewien, że została jakby...

[00:30:00]

TK:... rozluźniona kontrola ścisła. Przestrzeganie tego nieotwierania wagonów, zakratowanych okien itd. Już można było i wyrzeć, jakieś tam szparę. Tam często oderwało się jakąś deskę, wysadzało się nawet głowę. No bo to już przecież daleko i głęboki teren rosyjski. Tam już nikt nie mógł stamtąd praktycznie uciec. I tak

Kaszynski_Tomasz_AW_I_332_1B

[00:00:00]

TK: o miesiąca. To już idzie.

JR: Tak.

TK: No i pociąg stanął. Tak jak wspomniałem, nie pamiętam ile, 4 ponad 4 tygodnie jechaliśmy. I w pewnym. Pięknego, słonecznego dnia pociąg się zatrzymał. Wszystkie

wagony się otwierają. Na oścież drzwi. Wysiadać. Wyładowywać się. Przed nami jak okiem sięgnąć pole namiotów wojskowych. I tam nas kazali zajmować miejsca w tych namiotach. Cały transport. Przed nami podobno już tam był jeden transport wyładowany. Potem myśmy wyładowali się. I w kilka dni, bodajże jeszcze dobrze nas niegdzie jeszcze specjalnie nie rozwieźli po terenie, po tych wioskach, po tych Kazachstanie i przyszedł następny transport. No ale to dalej. I później dopiero dowiedzieliśmy się, chyba po wyładowaniu się, że to jest miasto Pawłodar. Leży nad Irtyszem. To jest Kazachska SSR. I w tym Pawłodarze, w tych namiotach byliśmy około 2 tygodni. Bo to później przychodziły samochody, ładowali tam po nazwiskach, po listach tam. Jakoś nie wiem jakim oni to kluczem wybierali tych ludzi. I rozwozili po różnych miejscowościach. Myśmy trafili, 3 samochody szły razem. I pierwszy raz zawieźli nas od Pawłodaru w kierunku południowym czyli w górę Irtysza. Do takiego aułu, auł. Auł to znaczy to nie był kołchoz, to nie była wioska, to mieszkali sami Kazacy, Kazach. Bo to był naród pasterzy. To takie ich letnie rezydencje. Oni się zajmowali wypasem wielbłądów tam. To nas przywieźli te 3 samochody. Nie pamiętam w tej chwili ile to było rodzin. Mniej więcej 3, 4 rodziny na samochodzie było. To oczywiście samochody otwarte bez plandek, bez niczego. I tak oni to wieźli. Te nasze bagaże, tobołki pierwsze wzięli. A my na tym wszystkim na wierzchu siedzieliśmy. To tak by wyglądało jak czasami gospodarz wiezie żyto czy siano do domu i sam na górze siedzi. Tak to nas samochodem wozili tam. W każdym bądź razie pierwszy raz z Pawłodaru przywieźli do tego aułu. Wyładowali nas do takiej stajni. Po prostu to była stajnia, nic więcej. W pobliżu nawet tego domów tego aułu jeszcze nie było. Bo to było z dobry kilometr trzeba było tego aułu iść. Tam do tych pierwszych ludzi tych mieszkańców. Ale tak zapamiętałem sobie, że tam gdzieś jakieś dzieciaki odkryli ziemniaki, w jakiejś jamie. Mój Boże ziemniaki. Wielkie słowo. To były po prostu faktycznie ziemniaki, ale były tak małe, że jeżeli się trafił gdzieś tam któryś wielkości włoskiego orzecha to już był olbrzym. A to przeważnie były wielkości laskowych orzechów. Bo się okazuje, oczywiście później żeśmy się dopiero dowiedzieli, że tam były robione próby sadzenia ziemniaków. Ale niestety tam czas wegetacji, który tam przypada od gdzieś połowy kwietnia do końca sierpnia, te ziemniaki nie narastały. One się po prostu nie mogły wyrosnąć, bo tu za krótki okres i klimat nie pozwalał ich...

[00:05:00]

TK:... wyrosnąć. I oni na tym poprzestali i wyrzucili ich do jamy. A ponieważ już właściwie żywności praktycznie już nikt nie miał żadnej, to co wywiózł z Białegostoku. No bo ponad 4 tygodnie czy około 4 tygodni nas wieźli. To całe jedzenie to były te ziemniaki. Dopóki

oczywiście później człowiek wszedł w kontakt z ludźmi, żeby coś wymienić. Kupić nie było mowy bo i pieniędzy nie było, i nie było za co i skąd itd., itd. W każdym bądź razie wtedy dopiero rozpoczął się już prawdziwy głód. Nie ten, który przeżyliśmy przykładowo do aresztowania ojca, ostatnie dni do 1939 roku i pierwszy do wywózki co był w Białymstoku. Bo to była tak jak wspomniałem jeszcze nic. Ale nie pobawiliśmy tam długo w tym aule. Może 2 tygodnie. Ni stąd ni z owąd przyjechały znowu 3 ciężarówki. Pakować się. Ładować się. Tam nie wiele się miało do powiedzenia, praktycznie nic do powiedzenia się nie miało. I te 3 samochody załadowali gdzieś pod wieczór. I wieźli nas. Właściwie myśmy za bardzo nie wiedzieli, w którym kierunku, gdzie wiozą. No bo to już wieczór, noc. Całą noc wieźli nas. I znowu później, dopiero rano się dowiedzieliśmy. Był pierwszy postój właśnie we wsi Żelezinka. Ale to nie była jeszcze docelowa nasza przystań. Tam odpoczęli trochę. Tam kierowcy, tam doleli wody, to tam tego, tkie. Pół godziny przerwy było i jedziemy dalej. I tu już też niedaleko zawieźli nas do pewnego kołchozu. Nie pamiętam jego nazwy. Ale powiedzmy sobie 1 maja czy coś takiego innego. Jakaś taka nazwa była. To nie było daleko od tej właśnie Żelezinki. Do 15 kilometrów może 18 kilometrów od tej Żelezinki. A to już był, w sumie chyba lipiec. A może i pół sierpnia. Gdzieś w pełni lata. W każdym bądź razie w pełni lata na tych stepach Kazachstanu. I wyładowali nas w szkole w tym kołchozie. Chciałbym jeszcze tu kilka słów może na temat tego kołchozu powiedzieć. Bo to dość takie ciekawe. To była taka jedna ulica. Szkoła była mniej więcej w środku, na takim placu. Jedną część ulicy zamieszkiwali Rosjanie, drugą część Kazacy. Z tym że Rosjanie jak Rosjanie. No można było by porównać, że styl życia czy być może sposób raczej życia, ubierania się czy tej ich kultury był mocno zbliżony nawet powiedzmy do polskiego. Oczywiście do nie takiego poziomu, ale ci ludzie normalnie, jakieś tam supę gotowali. Normalnie jak mieli z czego to piekli sobie chleb. Mieli jakieś krowę, to powiedzmy tam jakieś masło zrobili, czy tam jakiś twarożek. No tak zdawałoby się, że żyli tak normalnie jak się żyje większość narodu. Natomiast Kazacy, Kazach to był dziwny naród. Przede wszystkim nie jedli w ogóle wieprzowiny. To byli mahometanie. To byli pasterze. To był naród koczowniczy. Ich, nawet było takie przysłowie, że *Kazach jak się urodzi to chodzić nie umie, ale już potrafi konno jeździć*. Tak, tak było mniej więcej ustawione. Odrębny w ogóle styl ubiorów. Tam jego się widziało na kilometr, że to idzie Kazach a nie Ruski. Bo Rosjanie to mieli typowe mieli takie czapki uszanki jak to czasami dziś można u nas widzieć w zimie czy kupić. Jakaś tam kufajka, jakiś tam może kożuszek. No może jakieś spodnie wataowane. Te walonki te na nogi, no bo tam obuwie skórzane nie wchodziło w ogóle w grę ze względu na olbrzymie mrozy.

Natomiast Kazach to też niby miał tę uszankę tego. Ale już ta uszanka to mniej więcej tak była bardzo podobna jak nasze...

[00:10:00]

TK:... Husaria miała hełmy. Czyli tu nauszники takie długie i jeszcze trzeci na kark. I to wszystko podbite przeważnie byli lisami. To były czapy olbrzymie. No i buty już mieli owszem, ale takiego typu Piotra I. Jak to aż gdzieś za kolano, jeszcze cholewy poszerzane. Już oni się kochali w skórze. Z tym, że oni później no jak były mrozy to naciągali to jeszcze tak jakby kufajkę na te buty. Mieli takie ocieplane to wszystko. Spodnie to już mieli przeważnie z baranich skór, wełną do środka. To można sobie wyobrazić przy braku mydła i już w ogóle tuszy itd. Ale chodzi o higienę. No to ten człowiek śmierdział z daleka. A wszy to były tak jak nasze pszczoły. I to jest prawda. To nie jest przesada żadna. Zresztą to potem mieliśmy sami doświadczyć to również na własnej skórze. I to w bardzo już krótkim. Bo to już nawet po tej podróży to już ponad 3 miesiące trwało. To i u nas już była i tu wesz i tam wesz. A to jakieś tam środki co mieli to się wszystko pokończyło. Mydła nie było. I właśnie i co charakterystyczne. Ci ludzie, czym oni żyli? Oni nie znali zup. Oni nigdy nie jedli zupy. Oni jedli tylko mięso. Baraninę lub koninę. I pili herbatę. Jeszcze oni takie świąteczne mieli 2 potrawy, które warto może byłoby wspomnieć. To był kirczyk według ich nazwy borsuk według ich nazwy. Co to jest kirczyk? To było kwaśne mleko twaróg inaczej. I podgotowywany na ogniu żeby woda odparowała i taka Kazaczka siedziała brała to tak w garść ten twaróg. Ścisnęła tu te resztę wody i rzucała na matę. Taką matę to była no powiedzmy z różek plecione takie maty. Takie ala koszyki na te maty. I to suszyli na zimę. Całe worki tego mieli. Natomiast borsuk to już było ciasto coś w rodzaju naszych pączków. Tylko że no nie pączki. To nie były pączki. To było w maśle smażone owszem, ale tak jak nasze, jak kopytka się robiło. Tylko te kopytko przeciąć jeszcze po połowie. To były takie prostokąty. I to było smażone w maśle. To to już było już w ogóle jak dla nas czasami poczęstowali a byli wysoce gościnni. Jak się przyszło do ich mieszkania, do Kazacha a pili herbatę. Bo tam oni, jak wspomniałem, obiadów nigdy. Ja w życiu nie widziałem tam jakaś kolacja obiad. Tam zawsze się piło herbatę. A herbata to już musiała być tak jak oni nazywali czaj kirpiśny czyli prasowana herbata w kostki. Bardzo taka twarda. I oni tego pili bardzo dużo. Bo jeżeli on dziennie nie wypił przykładowo 15, 20 szklanek to on każdy był chory im głowa bolała. Oddali wszystko za te herbatę. Aby tylko mieć te herbatę. Bo to ich było po prostu ich życiem. Spali. Pieców już w ich mieszkaniach pieców rosyjskich nie było. Oni mieli takie kotły, tak jakby czasa. Jak to kiedyś przed wojną rysowali, że to murzyni

gotowali białych ludzi. Takie właśnie półkule. Takie czasy to były żeliwne. I takie palenisko zrobione i tak oni to gotowali. Gotowali tam baraninę przeważnie, koninę. I czasami od czasu do czasu jakiś tam lepsze, tzn. makaron rzucali już później na te wodę. Ale makaron nie był krajany. To było takie koło jak my wałkowane. Całe te koło się rzucało do tego rosółu, gotowało i tak jedli. Tak oni to. To było. Ale to mięso było, trudno mi powiedzieć. Raz na 2 tygodnie raz na miesiąc. Bo skąd nabrać tych koni czy baranów do tego. A przeważnie żyli, jedli ten kirczyk, ten bursak i pili herbatę. Nawet był pewien okres, że myśmy mieszkali w takiej rodzinie. Oni jak nas przywieźli do tego kołchozu, co wspomniałem, tej szkoły. Ponieważ przychodził już wrzesień 1940 rok. Szkołę trzeba było opróżnić. To była szkoła czteroklasowa z jednym nauczycielem. No bo rozpoczynał się rok szkolny. To nas porozwozili po...

[00:15:00]

TK:... po ludziach. Po prywatnych domach. Tam gdzie oni mieli te domy. Myśmy w pierwszym momencie trafili właśnie do takiej rodziny kazachskiej. On miał lat pewnie 70. Ona lat 35 i 6-letni chłopak. I myśmy tam. Mebli żadnych nie mieli. Stoły to oni mieli takie wysokość, przeważnie okrągłe, niskie. Góra 30 centymetry. Siedzieli po turecku na podłodze. Spali na podłodze. Z tym, że oni mieli takie filcowe wołoki takie ale nasze powiedzmy wykładziny takie filcowe. To takie własnej roboty tam różne takie. Z tym naszywanym czy haftowanym takie wołoki motywy - azjatyckie motywy. To nawet Żółta Rzeka czy to serial czy tam tego. To Tam można było zauważyć te motywy właśnie. Ten ich styl życia bo to jest bardzo podobny, bardzo podobny. I tak właśnie tak oni to żyli. Czyli zupełnie odrębna kultura od rosyjskich, narodu rosyjskiego. A już od Polski to w ogóle. I myśmy nie długo tam w tej rodzinie mieszkali. Chyba też może z 2 miesiące. I przeszliśmy do ziemianki już. I tą pierwszą zimę byliśmy gdzieś do miesiąca, może koniec marca, może do końca kwietnia mieszkaliśmy w tej właśnie kołchozie, w tej ziemiance. Do 1940 roku tak gdzieś marzec, kwiecień. No to był chyba jeden z właściwie najgorszych okresów. Bo pracować nam nie wolno było. To było zapowiedziane, że mieliśmy się pozbyć. Nas traktowano jako burżuje, jako fabrykantów, jako krwiopijców. Tak ten dla tego narodu, tam miejscowych ludzi, byliśmy przedstawiani. Jeszcze pierwszy moment jak żeśmy wysiadali z samochodu to podchodzili dzieci, podchodzili starsi ludzie brali nas za rękę i macali czy to jest naród. Kto to jest w ogóle. To było szokujące. To było straszne. Oni nie wierzyli. Oni nie mogli wtedy. Nawet już nie mówię o Kazachach, że zobaczyli taki naród. Nawet Rosjanie. A przecież podobieństwo Polaka właściwie Rosjanina jest niewielka różnica. No przecież nieomal że taki

sam jest naród. Tylko być może o innej kulturze, o innym zasobie wiedzy itd., techniki itd., nauki, prawda. W każdym bądź razie tak mniej więcej to było. I ten okres musieliśmy. To znaczy starsi, ja jeszcze nie chodziłem, bo byłem za młody jeszcze wtedy. Co wieczór musieli się meldować w biurze u przewodniczącego kołchozu. On miał spis wszystkich tych ludzi. Polaków którzy tam byli, że nie uciekli. Co wieczór przed spaniem, tam między godziną 18 a 19 trzeba było iść i pokazać się. On odznaczył. Tak to właśnie przeszła cała zima. Nawet nie wiem kiedy było Boże Narodzenie. Nie wiem kiedy było Sylwester. Takich rzeczy to tam się nie obchodziło. I nie wiadomo kiedy to było, kiedy to wszystko przeszło. No i był właściwie głód straszny. Trzeba było chodzić i chodziliśmy. Jedyne ratunek to było wyprzedaż tych rzeczy, które już myśmy mieli. Jakaś tam kołdra, jakaś poduszka, jakaś marynarka, jakiś szalik, jakaś może apaszka. No nie wiem co było. Każdy miał jakąś tam szmatkę. To trzeba przyznać, że Ci Rosjanie, trochę i Kazacy chętnie nawet kupowali. Kupowali oczywiście, wymiana ale tylko za zboże. Nic więcej. Mięsa się od nich nie dostało. Masła nie było. Chleba oni sami też prawie nie mieli, bo choć to jeszcze nie była wojna w ich okresie, ale oni nie piekli tak chyba dużo tego. Czasami dali tam pół bochenka za coś. Ale przeważnie oni najchętniej to płacili zbożem. Jakaś kasza jaglana, jakaś kasza jęczmienna, jakieś tam...

[00:20:00]

TK:... I same zboże, bo trzeba było mleć. To mieli ręczne takie żarna jak to się nazywa. Zresztą było w pewnym okresie później ja sam zrobiłem dla siebie takie żarna. Z 2 dużych pni. Nabijało się 2 powierzchnie tymi starymi garnkami żeliwnymi. To się tłukło te żeliwo i się wbijało w te drewno. I później jedno o drugie ocierało i tak się te ziarno i jak się miało to tam parę tych garstek ziarna i o własne żarna miałem i to się mleło. I to właśnie był najgorszy okres, bo mrozy straszne. Ubiorów wtedy jeszcze. Jeszcze myśmy nie zdążyli się zagospodarzyć żeby tam jakaś kufajka, jakiś wołok na te nogi. To się nasze bucik skórzany to przecież to noga, normalnie ten bucik przymarzał do nogi. Nie było sposobu, że. Jeśli jeden wychodził to brał z 2, 3 osób wszystkie szmaty na siebie i dopiero wychodził, bo inaczej by zamarzł. I mniej więcej już jak zaczęła takie przedwiośnie już być. To właśnie gdzieś mniej więcej chyba kwiecień to matka zdecydowała się pójść piechotą do Żelezinki. To już była wieś. Spora wieś. To już było. W środku był budynek murowany. Jeden jedyny. To był Komitet partii. To już była milicja. To był drugi. Było NKWD. Już poczta była, już tamto telefon, telegram był. Jakiś tam list można było wysłać ewentualnie już. To już było kilka zakładów takich. Był między innymi zakład szwalniczy. Tam oni szyli jakieś odzież robocze, kufajki szyli. Zakład tytoniowy. I razem jednocześnie i był kołchoz już w tym, w tej

Żelezince. To już takie. To była wieś, ale to była duża wieś. Trudno mi powiedzieć ile tam było mieszkańców. Może 5 tysięcy, może nawet i 10. Leżała nad samym Irtyszem. Nad wysokim brzegiem, bo jedna strona, zachodnia strona był brzeg wysoki. Natomiast wschodnia strona był brzeg niski, gdzie woda wiosna tam na tamtą stronę rozlewała się. To jak się rozlała to po horyzont było jedno morze. Nie było widać horyzontu w ogóle. Bo to Irtysz, ja osobiście uważam, że dużo większy od Wisły. Przede wszystkim po Irtyszu mniej więcej raz w tygodniu przechodził statek. Z Pawłodara do Semipałatyńska. I w Żelezince zawsze każdy jeden statek cumował. Tam wyładowywał jakiś towar przywoził, kogoś tam zabierał itd. To była pewnego rodzaju już atrakcja. No ale ja to uprzedziłem ten fakt, bo to jeszcze myśmy byli w tym kołchozie. To my dzieci. To dopiero sama matka poszła piechotą do tej Żelezinki. Ponieważ tam znalazła tą pracę ten szlipotrep. To była taka spółdzielnia ta szwalnicza. I ten przewodniczący zgodził się matkę przyjąć z tym, dlatego że matka miała tą główkę...

JR: Od maszyny.

TK: do maszyny singerowską. A tam był problem właśnie maszyn do szycia. Ale mówił, że musi dostać zezwolenie z NKWD na osiedlenie się. Bo to nie taka prosta wszystko była sprawa. No nie wiem czy ten przewodniczący coś tam pomógł w tym NKWD dla matki, czy nie pomógł, czy matka sama. Świetnie władała, zresztą myśmy już wszyscy dobrze władali rosyjskim językiem, bo to już prawie 10 miesięcy, prawie rok już byliśmy na styku z tym językiem. W każdym bądź razie wróciła chyba na drugi czy trzeci dzień i dostała parę wołów. Tam się jeździło wołami. Tam koni nie było. I ten cały nasze tobołki na woły i przeprowadziliśmy się do Żelezinki. Tam załatwiła sobie matka taką letnią kuchnię. Zresztą też tylko chyba do, mieszkaliśmy mniej więcej do końca roku 1941 tak mniej więcej. W każdym bądź razie dostaliśmy tą kuchnię. Tam matka dostała pracę. To już tak jakby się otworzyło w pewnym sensie no szczęście za nogi się złapało, bo już była szansa.

[00:25:00]

Co prawda jeszcze nic nie dostała, ani rubelka, ani jakiegoś ziarna, ani chleba, ale już była szansa, że jak się pracuje to coś jednak się...

JR: Dostaje za to.

TK: ... dostanie się.

JR: A reszta rodzeństwa?

TK: Później dopiero już jak matka zaczęła pracować. Myśmy jeszcze jakiś czas byli wszyscy w domu. Ja to w domu byłem właściwie najkrócej, ale to może...

JR: Wrócimy

TK:... wrócimy tak. Zaraz siostra również dostała tam pracę razem z matką. Druga siostra, ta średnia w fabryce tytoniowej. I ona aż do wyjazdu tam pracowała. W fabryce tytoniowej pracowała. A mój brat starszy oczywiście tam z jednym Tadzikiem Turkmenem coś tak, utworzyli taką spółkę piłowania drzewa do stołówki. Bo tam już była i stołówka. Można było tam...

JR: Upiec

TK: kupić jakąś zupę. Drugich dań czy tam tego tam nic tego nie było. Tam była tylko gotowana zupa albo drugie danie, Ale już można było coś gotowanego nazwijmy to w mieście kupić, zjeść. Już był jeden sklep jakiś spożywczy, gdzie przywozili przykładowo naftę, bo światła elektrycznego nie było tam w ogóle. Nafty można było kupić. Tam od czasu do czasu paczkę papierosów. No i przed 1 maja można było dostać, miejscowi oczywiście, nie my, tam jakieś parę deko cukierków, jakiś kawałek cukru. Bo cukier to tam był nie taki mialki jak u nas. Tylko to był w takich dużych kostkach. On był po prostu rąbany siekierą.

JR: W głowach.

TK: Tak w głowach taki cukier. Z tym, że to wszystko jeszcze było, funkcjonowało do pamiętnego dnia 22 czerwca 1941 roku, czyli do wybuchu wojny między. To znaczy Niemcy napadli na Rosjan. Ponieważ myśmy w kwietniu 1941 sprowadzili się, nazwijmy to, do Żelezinki to jeszcze przez te kilka miesięcy. To tak jakoś brat trochę w stołówce zarabiał, ja to tam skokiem bokiem już tam rybkę wielkie się złapało i już. Głód był, ale nie zagrażało nam w ogóle wycieńczenie głodowe. To się to trzeba to zrozumieć. Bo słowa często. Ja to mówię i ja to widzę inaczej a można odbierać to inaczej, że to tak pomyśleć: *O głodu nie było to źle nie było*. To nie to. To głodu takiego nie było, że człowiek nie puchł już i nie padał z głodu a żył. Mógł jeszcze się poruszać, mógł jeszcze chodzić i jako tako trzymał się na nogach. Wybuch wojny zastał mnie właściwie. Ta informacja zastała właściwie na ulicy w tej Żelezince już. No bo muszę jeszcze dodać, że i radiowęzeł był też. To znaczy te słynne rosyjskie...

JR: Toczki

TK: ...Toczki właśnie. No ale radiowęzeł był na miejscu. Kino było na miejscu już. Choć to już taka powiedzmy nasza objazdówka, ale to już kino było. Czyli już to nie była taka wieś Żelezinka. To na owe czasy, patrząc na ten auł, czy na ten kołchoz poprzedni to dla nas to już było no miasto. To już był rarytas. Już jest coś, no przecież to jest prawda. Z tym, że pierwsza informacja padła gdzieś około godziny dopiero 9. Dlaczego to już później historia udowodniła. Ale w każdym bądź razie ten nalot i na miejscu w tej Żelezinie Rosjanie dowiedzieli się około 9 że: *Faszyskaja Germania napala na Sowiecki Sojusz*. Tak mniej więcej takie słowa. Muszę przyznać reakcja narodu tego. No dużo było przecież młodzieży. Tam duża wioska. Ludzi takich poborowych tych, którzy już byli w wojsku, którzy szykowali się do wojska. Tam sporo tej młodzieży było. Och co to było za szczęście. Za raz te harmoszki u nich tam, te bałajki takie. To śpiew. To dla nich to była wielka emocja, że wojna dłużej nie będzie trwała jak 2 tygodnie i oni Niemców zarzucą czapkami. Dosłownie. Taka była radość.

[00:30:00]

TK:... No coś strasznego. Ale odjechała jedna tura, odjechała 2 tura. To pobory wojen kamat czyli nasze sztaby wojskowe, były komisje zabierali, zabierali, zabierali, zabierali. Młodzieży już tu nie ma. Starych już zostali tylko staruszkowie. Od czerwca to był: lipiec, sierpień, wrzesień. W październiku już w ogóle prawie nie ma żadnych mężczyzn. To tylko tak mój brat najstarszy został, później ja i tam jeszcze kilka Polaków i ułomni. Wyludniło się całe miasto. Końca wojny nie było słychać. Tylko się już słyszało, że już Niemiec pod Moskwą stoi, że już pod Stalingradem. Leningrad już jest okrążony itd. I teraz można sobie zdać sprawę w jakim to błyskawicznym tempie Niemiec szedł przez te olbrzymie terytorium. Przecież to do Moskwy mniej więcej od granicy tutaj do Moskwy to około 2000 kilometrów. To nie bagatela

Kaszynski_Tomasz_AW_I_332_2A

[00:00:00]

TK: No tak i to już był gdzieś mniej więcej Niemiec. Takie olbrzymie przestrzenie, tak szybko. To jeszcze ja nawet żartowałem, że Polacy się dłużej bronili. Ta biedna niewielka Polska. Przynajmniej prawie ponad miesiąc walczyła. I walczyła praktycznie nieomal, że na dwa fronty. Bo przecież po 17 września Rosjanie nam bagnet wsadzili w plecy ze wschodu. A jak przyszło się sami, to oddawali miasto za miastem. Szło to błyskawicznie. Niemiec szedł

aż opas i gdyby nie mróz jego podciął to kto wie co byłoby z Moskwą jeszcze w 1941 roku. Przed końcem 1941 roku. Tylko że to była wyjątkowo ciężka zima. Jak pamiętam, to wszyscy nawet najstarsi ludzie miejscowi, mówili, że takich mrozów nie pamiętają. Mróz dochodził do 50 i wyżej stopni tam u nas. Takich mrozów to nie zawsze było. Owszem mróz 35, 40 to nie było nic nadzwyczajnego. No ale 50 to jednak to była straszna zima. I chyba ten front zatrzymał się. I tutaj właśnie rozpoczął się jakby 2 etap dla Polaków. Tu się otworzyła. Kto potrafił jakoś tak się orientować w polityce, ktoś tak przewidywał, tak jak powiedzmy w naszym domu. No w domu bądź co bądź legionisty, patrioty tego okresu Piłsudskiego, okresu Legionów, okresu Niepodległości. To dla nas to była jedyna szansa wyrwania się ze Stepu Kazachstanu i powrót do domu. To właśnie otworzyła nam napaść Niemców na Związek Radziecki

JR: Na Rosję.

TK: Na Rosję. Bo przecież nie po to nas Rosjanie wywozili żeby za kilka lat mieli nas z powrotem wieść. Nas wywieźli po to żebyśmy zasiedlili te tereny i na wieki wieków tam zostali. Po to tylko na przecież wywozili. Sytuacja Rosji była już tragiczna. Tutaj i nie tylko zresztą, ale tu na horyzoncie się pokazał już Sikorski. Pierwsze umowy ze Stalinem, pierwsze jakieś układy i powoływanie rządu emigracyjnego. Sikorski już częściowo się dogadał ze Stalinem. I już na początku, na pierwszej jak wiosna kiedy można było coś już ruszać się ten transport. Przecież takie olbrzymie śniegi, zaspy to, to wszystko stało. Na przykład z Żelezinki do Pawłodowaru nie było mowy w ogóle jakiegokolwiek dojazdu. A przecież w Pawłodowarze to była pierwsza linia kolejowa, żeby gdzieś można ruszyć było dalej. Zapowiadali już pobór Polaków do wojska polskiego, właśnie do armii Sikorskiego. Wtedy jeszcze zawsze się mówiło Armii Sikorskiego. Ale niestety trzeba było czekać wiosny. I nastąpiło ten upragniony miesiąc. Na komisje. Jeszcze musiałbym wrócić troszeczkę, bo zapomniałem. I tutaj już jak powstała pierwsza umowa Stalin-Sikorski zaczęli wypuszczać z łagrów, więzień Polaków między innymi i wypuścili ojca. Ojciec wiedział gdzie my jesteśmy. Miał nasz adres. My np. ojca nie wiedzieliśmy gdzie. Bo matka pisać listy do Białegostoku do znajomych, do rodziny do Wilna...

[00:05:00]

TK:... do rodziny do Lwowa, to poprzez te rodziny. One ta rodzina. Jedna czy druga, czy znajomi. Bo z kolei ojciec pisał po tych rodzinach i po znajomych. Dowiadywał się co z nami się stało, gdzie my jesteśmy. I ojciec dostał nasz adres. Prawdopodobnie pisał i do nas. Tylko

że nam tych listów nie doręczano. Prawdopodobnie, mogę tylko się domyślać, były anulowane czy wręcz wyrzucane do kosza. Właśnie już w Żelezinie a może w łagrach, trudno powiedzieć. W każdym bądź razie żaden list nie dotarł. Tylko pięknego poranka zjawia się ojciec pod wskazanym adresem. Myśmy już wtedy mieli, nazwijmy to, dom. No ale mówmy, że to jest taki własny już domek mieliśmy. Co do domku to też na końcu przypomnę. Proszę sobie nie kojarzyć tego z domem. To była zupełnie inna architektura i zupełnie inne wykonawstwo. No ale dom. I ojciec wrócił z łagrów. Radość olbrzymia. I matka szczęśliwa bo jej lżej już i tego już ojciec. No ale to długo nie trwało. Kilka tygodni był pobór do wojska. Do poboru staje normalnie ojciec, staje brat i ja również. Mnie niestety. Mnie od razu odrzucili. Pomimo, że się naprężyłem i tam na palcach stawałem, że to rzekomo ja jestem większy, wyższy. Czy po dodaniu sobie 2 czy 3 lat. Niestety. Bo do poboru wcielali normalnie te wojen kamaty czyli sztaby wojskowe, ale rosyjscy urzędnicy. To nie było, że tam

JR: Polskie.

TK:... jakaś polska, nie. To normalnie urzędnicy rosyjscy wcielali tak samo jak swoich Rosjan do ruskiej armii. To szło jednym sztabem, jednym biurem. I dlatego tu nic nie można było wskórać. Po tej komisji ojciec został przydzielony do wojska, przyjęty. Brat został przyjęty i wielu innych tam różnych tych roczników Polaków zostali wcieleni do Wojska Polskiego. I bodajże po 2 czy 3 dniach dostali transport. Przeważnie dostali z kolchozu podwody, jak oni to nazywają. Furmanki. Statki jeszcze nie chodziły po Jertyszu. Bo tak by płynęli by statkiem. A tak tymi furmankami zostali odstawieni do Pawłodaru. Bo tam był główny punkt zbiorczy. Tam była już kolej. Tam było właściwie okno na świat. Nie minęło kilka dni ni stąd ni z owąd ojciec wraca z powrotem, brat nie. Brat został już dalej, dalsze koleje. Już normalnie tam został wcielony do armii i tam szedł swoim szlakiem tej armii, która tam była. A ojciec wraca z powrotem. I ot mówi, że został cofnięty przez pełnomocnika rządowego, Sikorskiego Rządu Polskiego. I został jako mąż zaufania na teren (nz), żeby stworzyć listy Polaków, żeby służyć tym Polakom. Tam spodziewali się UNRR-y. Żeby zając się losem Polaków. Taki mąż zaufania. Nie miał wyboru. Nikt go podobno, tak jak ojciec mówił, nie pytał czy chce czy nie chce. Bo to było postawione, że no ktoś to musi zrobić i często jest jeden człowiek więcej warty jest z powrotem służący kilkaset ludziom niż jeden człowiek więcej na froncie powiedzmy. I prawda rozpoczęły się. Przychodziła UNRRA, przychodziły ubrania amerykańskie, takie farbowane, takie to spodnie, takie bluzy, takie wiatrówki. Co Amerykanie tam noszą. Z tym, że to wszystko nie były drelichy. To były

wełniane, grube. Obuwie było skórzane. No ale to już było jakaś. Była bielizna już to jakaś ciepła, wełniana. W każdym bądź razie no nie jeden z nas po tylu miesiącach już właściwie...

[00:10:00]

TK:... ponad rok. Już nie miał nawet ani koszuli, ani kałeson, ni skarpet ani w ogóle żadnej szmatki. Tak miał te kufajkę to na gołe ciało i te spodnie watowane na gołe ciało i nic więcej. To już mógł się jakoś przynajmniej na okres cieplejszy. W okresie letnim włożyć jakieś przyzwoite spodnie, jakieś kamasze, jakieś tam te bluzę i jakoś przykryć te biedę, która nas tam czekała. Ogołocone szkielety. Cóż tu więcej można byłoby w tym okresie dodać. Nastąpiła duża odwilż powiedzmy tak. Z Polakami zaczęli się mocno jednak liczyć. Tu i Komitet Partii inaczej i tu już NKWD inaczej. No w każdym bądź razie zaczęto nas traktować jak nie. Nie jak zesłańców tylko jak równorzędnych sobie partnerów. Czyli jak normalny naród. Ale tego szczęścia, też jakoś tak dziwnie się toczyły te losy, że nie było za wiele dane. Szybko układ został zerwany. Stalin twierdził, że to Polacy nie chcą walczyć. Nie chcą iść przed Armią Radziecką tędy przez Wschód do Polski. Dziwnie Sikorski, Anders wyprowadza całą armię przez Morze Kaspijskie, Iran, Irak. Tam na azjatyckie te strony. Za granicę. Rosjanie biorą za to odwet. W pierwszym rządzie aresztują wszystkich gdzie kto został. Między innymi zostaje aresztowany od razu ojciec. Rewizja, znowu wszystkie, jakie dokumenty, spisy. No nieomal, że był traktowany jako szpieg. I znowu tam byliśmy. Nawet z matką jeździłem do więzienia do Pawłodaru. To jest około, o ponad 200 kilometrów chyba. Do ojca tam. Ja już ciężko chory. Chodziłem o kulach. Ojciec dostaje wyrok 10 Lat, 5 lat zsyłki. Tak, że już drugi wyrok, bo już tam w Białymstoku już miał wyrok też. Właściwie 10 lat i 5 lat zsyłki też, ale ponieważ tam anulowali tamten wyrok. I ojca już więcej nie zobaczyliśmy aż do 1956 roku aż do póki wszystko nie odsiedział. Dopiero w 1956 roku wrócił do Białegostoku. Był przeważnie na północy: Archangielsk, tam Nowa Ziemia, Kołyma tam był na tych. U nas to się mówiło, że jest 9 miesięcy zima a reszta wszystko lato i lato. A tam 12 miesięcy zima a reszta lato. Tam nigdy ziemia, jak ojciec opowiadał, nie odmarzała, nigdy. To były losy ojca. Losy moje już po tej komisji, po aresztowaniu ojca, już po wyprowadzeniu wojsk. Sikorski ginie. Armia Andersa. Anders armie wyprowadza. Naraz słysząc Wanda Wasilewska wypływa. Nie pamiętam wydali gazetę *Nowe Horyzonty*, *Nowe Drogi* coś takiego. Czy może jedno i drugie, ale takie coś było. Już do narodu, do pozostałych tych Polaków z apelami powstaje nowy nabór. No ale już tam właściwie nie ma kogo brać. Bo tam kto. Kogo wzięli to już to wzięli, ale zawsze rok do przodu, to jeszcze młodzieniaszki pozostawały tak jak przykładowo ja. Ale ja jeszcze byłem za młody w tym owym czasie. W między czasie ja tam

pracowałem w elewatorze. Nosilem te worki zboża po trapach gdzieś na chyba 3 piętro. Tam spadłem, uszkodziłem kręgosłup. Już jak napomknąłem tam. Już chodziłem o kulach. Potem miałem odmrożone nogi. To też bodajże w poprzednim wywiadzie wspominałem z czego to się wzięło. Tam był Topryjertyska. To jest ponad 30 kilometrów szedłem piechotą...

[00:15:00]

TK:... w dół rzeki Irtysz. Statki już nie chodziły żeby kupić kilka kilogramów zboża. I wracając z powrotem zastała mnie burza śnieżna czyli tzw. buran jak oni to nazywali. To coś strasznego. To nie można sobie wyobrazić. To nikt nie jest w stanie wyobrazić jeżeli czegoś takiego nie widział. Jak często tam na filmach pokazują te burze piaskowe, pustynne. To podobna jest historia tylko, że śnieg jeszcze jest gorszy. Nic nie widać na wyciągnięcie ręki. Człowiek nie jest w stanie zobaczyć własnej ręki. Z chaty do chaty to blisko. To jest taka zabudowa w tejże Żelezinie. Wiele ludzi ginie. Jak w czasie burzy wyjdzie do sąsiada, niestety nie trafia do niego. Nie trafia bo zbacza i go wiatr go tam. Wydaje się, że on idzie przez drogę, tylko przejdzie i jest w tej chacie. Niestety bardzo dużo ludzi ginie właśnie z tego tytułu. I potem z wycieńczenia po prostu zasypia i zamarza człowiek. To jest zawsze tak jak tego to jest najłżejsza śmierć. I ja właśnie taką śmierć przeżyłem. Z tym, że mnie. Przewodniczący kołchozu jechał sankami, konno. Koń powoził sanki. I prawie już kupka śniegu i właściwie koń tam dęba. Koń wyczuwa okazuje się człowieka. A oni już byli

JR: Przyzwyczajeni

TK:... przyzwyczajeni do tego. Rozgrzewał, wziął za puls. Puls bije. To szybko na sanie. Było już nie daleko. Właściwie Żelezinka, to gdyby nie ta burza śnieżna, to w zasięgu ręki była już. Zawiózł do szpitala. Uratowano mnie. W pierwszym rzędzie życie. W drugim rzędzie nogi. Bo szczególnie miałem mocno odmrożone nogi. Tak, że nie trzeba było amputować. A byłem świadkiem nawet, że...

JR: Amputowali?

TK:... amputowali. Wręcz nawet odpadały ręce i nogi ludziom. I sam widziałem osobiście, bo brałem udział w pochówku. Już właśnie trumien nie było. Zawijało się w prześcieradła. Pierwsze wszystko te początki. Później prześcieradeł nie było.

JR: A długo Pan tam leżał w tym szpitalu?

TK: No to coś około chyba 2, 3 miesięcy. Potem przyplątało się zapalenie płuc. Znowuż pewnie ze 2 miesiące. W każdym bądź około pół roku. Potem mnie wypuścili. Chodziłem na kulach. I tak właściwie z kulami prawie, że wróciłem do Polski. W każdym bądź razie w stanie bardzo opłakanym. Leżałem na tych. Bo też wagony były towarowe. No po prostu wręcz paraliżowany. No ale wróćmy jeszcze, bo to jednak mimo wszystko jest rok, koniec 1942. Powstaje tu armia, Dywizja Kościuszkowska. Nie armia, przepraszam, Dywizja Kościuszkowska. Berlin, Anna Wasilewska, Lampe. Któż tam jeszcze? Później dopiero widziałem toż Stokorski tam trochę działał tam. Staję i ja na komisję. Po prostu wyrwać się. Szukałem sposobów. Niestety nie przyjęli mnie również. Za młody i koniec. Wtedy dostaje. Jakoś udało mi się zatrudnić w kinie. To był rok 1943, początek roku 1943. No bo gdzie, do czego ja się nadaje na kulach? Na jakie roboty? W kołchozie nie mogę. W jakimś lesie tak tego. Do czego się nadaje taki człowiek? Do niczego. No to udaje mi się wkręcić, jak ja to nazywam, do kina. Kino posiadało własny agregat do wytwarzania prądu elektrycznego żeby poruszać projektor. Żeby można było wyświetlać kino. To takie same agregaty w pierwszych latach po wojnie miały nasze objazdówki. Tu w białostockim również. Bo wiele przecież wsi Białostocczyzny...

JR: Nie miało prądu.

TK: nie miało prądu. I takie kino przyjeżdżało, zapalało ten agregat. Jak to się mówi zapalało, zapuszczało ten silnik. Była prądnica. Wytwarzało własną energię elektryczną i tak się tego. I ja dostałem się do kina właśnie na tego motorzystę tam. Do nauki przy tym agregacie. Od tego rozpocząłem pracę w kinie. I później tak trochę potem już byłem i...

[00:20:00]

TK:... do projektora, tam gdzie się wyświetla itd. Coraz wyżej, coraz wyżej. Aż wreszcie już w 1945 roku już zostałem samodzielnym. Już wszystkich pozabierali do wojska. Przecież to ja tylko jeden zostałem. Koniec 1944, początek 1945 roku. I tak cały czas tam pracowałem. Praca, mój Boże. Praca była. Miało się te prace. No ale z tego pożytku wiele też nie było. Pieniądzy nie płacili. Zresztą za te pieniądze nic nie można było kupić. Za ruble nic nie można było kupić. W ogóle mowy nie było. Sklepy już były zamknięte dawno. Tam czasami przywieźli jakąś beczkę spirytusu. Na butelki rozlewali. Od czasu do czasu, raz w miesiącu jakąś beczkę nafty i to wszystko. Nic więcej nie było. A reszta to już tam, kłoski się zbierało po polach, po kombajnie. Kłosków się nazbierało tam w dłoni troszkę. Garść, 2 garści jakiegoś ziarna z tego się miało. I to wszystko. I to jeszcze jakby gdzieś jakiś mądry taki facet

trafił, a taki polakożerny jak był to twierdził że. Jeszcze chciał aresztować, bo twierdził, że to była kradzież mienia państwowego jak się na polu zebrało kłosy. No niestety tacy byli ludzie też.

JR: A jak nie było można nic kupić, to czy były jakieś przydziały, że to wszystko przydzielano?

TK: Tak, tak właśnie. Właśnie o tym chciałem wspomnieć, że pracujący dostawał, jeśli się nie mylę, koło 12 kilogramów ziarna. Ale to przeważnie było mielone ziarno. Z tym że to było przykładowo. Przykładowo daje, bo to trudno w tej chwili powiedzieć. Po 3, 4 kilogramów prosa, to ziarno z prosa to tam jakaś kasza można było zrobić; 2, 3 kilogramy jakiego jęczmienia; 2, 3 kilogramy jakiegoś owsa. No i resztę tam 2, 3 kilogramy przykładowo pszenicy. Czasami dawali to wszystko było zmielone. Z tą łuską, z tym wszystkim. To nic to nie było żeby to na sito. Bo sita przykładowo myśmy nie mieli, ale Rosjanie miejscowi mieli sita. Można było to przesiać. Ale mój Boże to, to...

JR: Tyle odchodziło.

TK:... tyle odchodziło. Przecież to nie było małe żeby to można było jakieś mszalo zrobić, jakiś placek upiec czy już nie mówię o chlebie. Ani tłuszczu ani oliwy. Często soli brakowało. No to się robiło tam jakieś garstkę. W większości to matka robiła tak. Brała garstkę. Do garnka woda jak się gotowała wsypała garstkę czy dwie garstki tej mąki to...

JR: To tak rozmuziało.

TK: Tak, taki klej wyszedł. I każdy tej braji dostał tam kubeczek i to wszystko. Czasami jakiś na blacie tej płyty, bo to blat bez niczego bez oliwy, bez niczego można było sobie jakiegoś takiego placka gęściejszego upiekać. I to był zastępował chleb. I to wszystko. Brakowało soli, bo toteż ciekawa historia. Step ma to do siebie, że właściwie jest w pewnym sensie nawet samowystarczalny. Na stepie rosły ług, czyli cebula dzika. To już ratowało nasze zęby.

JR: Od szkorbutu.

TK: Tak, bo zęby się tam można było wyrzucać i to wiele się powyrzucało te zęby jak tego. Ona była może trochę ostrzejsza, może była tego. I zawsze jak gdzieś się szło w pobliżu stepu czy przez step, jeżeli się cebulę zauważyło, to ja osobiście nie widziałem, żeby ktokolwiek przeszedł obojętnie. Zawsze się nachylił, urwał i jadł. Przynajmniej tak robili wszyscy Polacy. Był już w stepie. Co prawda w stepach były i takie jeziora słonej wody. Przez okres letni. A to

jak wspominaliśmy, nie wiem czy ja to mówiłem. Bo w zimie przykładowo -40, to latem +40. Te jeziora szybko wysychały. Powstawała warstwa soli, najprawdziwszej soli. To przeważnie kołchoz dawał parę wołów. Takie jakieś hule drabiniastym, wyścielane brezentem. I tam 2, 3 ludzi jechało, łopatami nawalili tej soli. Bo to często trzeba było dość nawet i do 100 kilometrów jechać. Bo to były rzadkość. Step ma to do siebie, że to olbrzymie nieprzebyte tereny. To się jedzie setki kilometrów i się nie spotyka nawet żywego ducha.

[00:25:00]

Nic tylko step. Porośnięty piołunem przede wszystkim. Żeby przywyknąć było do stepu, przyzwyczać się, to nic tylko człowiek czuł gorycz w ustach. Bez przerwy gorycz w ustach. Piołun. Step zazielenił się tylko wczesną wiosną. Tuż zaraz po stopnieniu śniegów. Tydzień, dwa. Później susza. Taka susza, że wypalało wszystko. Tam się utrzymywały takie ostre jakieś trawy przykładowo. Bardzo, które nawet nogi kaleczyły. Jeżeli chciał zerwać taką trawę to przecinało palce do kości. Takie ostre trawy. To był właśnie step. Ziemia bardzo twarda. Tak ziemia twarda, że po tym stepie tak ktoś się zamanił a miał sposobność jechać samochodem to nie trzeba. Tak jak po autostradzie się jeździło. Oczywiście że były wypadki tak takich tych jezior. Że tam były i błota, że tam jeszcze resztki pozostawało. Ale to tego było raczej mało. I właśnie jak przywieźli taki sól to tam rozdawali te sól tam. W każdym bądź razie jeżeli mieli ci mieszkańcy swojej te soli to nie mogą powiedzieć, nam Polakom troszkę zawsze udzielili tej soli. Dali trochę tej soli. Oczywiście może za jakieś szmaty, jakieś tego. No ale tylko tą drogą można było dostać sól. I tak to się. Chociaż by powiedzmy w Irtyszu złapało się jakąś rybkę. No jakim to. To też chciałoby się choć odrobinę tej soli. To były tam, te słynne ,te uchy gotowali. Tyle tego, czyli te rybne zupy. I też proszę sobie nie wyobrażać, że to ryby, to już jak ryba to już luksus, to jedzenie jest. Ale czym złapać te rybę. No nie można kijem złapać ani rękę. No haczyków nie ma, sznurka nie ma, żyłki nie ma. No sieci nie ma. To nie taka prosta sprawa, że to poszedł i na ryby. To z początku tam się robiło jakiś haczyk ze szpilki, jakiejś agrałki, jakiejś tego. Potem gdzieś tam ktoś pojechał przykładowo do Pawłodaru. A to nie jest taka prosta sprawa pojechał.

JR: 200 kilometrów.

TK: tak. I tam gdzieś jak dostał tam przywiózł kilka haczyków to podzielił się tam dał po jednym. A często było, że raz się zarzuciło taki haczyk, gdzieś tam ryba połknęła, szarpnęła, zerwała i dalej nie ma nic. Tak, że to nie była taka prosta sprawa. O jest Irtysz jest ryba. W Irtyszu np. było bardzo dużo jesiotra. A jesiotr to nie, to jest kawior. Dzisiaj jak patrzę na ten,

to ja sobie nie mogę nawet tego. No ja się po prostu śmieję. No śmieję, taki wielki luksus. A tam czasami jak się jesiotra złapało takie 20, 30 cm. No bo większego nie, bo nie było na co, prawda. Tam dochodziły. Widziałem tam jeszcze przed wybuchem wojny niemiecko-rosyjskiej, to były rybacy. To oni tam metrowe jesiotry ciągli. Ale później to zginęło. To wszystko już. W ogóle nic nie było jak wojna wybuchła. Wszystko zlikwidowali, bo wszystkich do wojska pozabierali, tylko łódki pozostawały.

JR: Nie było komu łowić.

TK: Nie było komu dosłownie. A kobiety przecież też miały i dzieci. Owszem kobiety się przesiadły na ciągniki, na kombajny w okresie żniw. Tam przykładowo na inne parce te męskie itd. Ale resztę ktoś tam tymi dziećmi musiał się zająć. Przecież to jest normalne, oni też tak mieli rodziny tam. Tak, że to jest nie obiecywać sobie jak było. W każdym razie bez przerwy była. Tam się żyło tylko jednym, żeby chociaż raz dziennie napchać czymś żołądek i za mocno wszy nie jadły. I to wszystko. Człowiek więcej tam specjalnie, o nic się nie troszczył. Na czym myśmy tu stanęli. Zatrzymaliśmy. No powstanie tej Dywizji Kościuszkowskiej tak. To obeszła się też obok mego nosa. Przeszła i poszła. Tam nawet od nas jeden został powołany do tej Dywizji. Brał udział pod Lenino. Został kontuzjowany i wrócił do Żelezinki. To znaczy on nie był z samej Żelezinki, tylko tam z sowchozu. Ale zajechał do nas. Aha. I opowiadał. Na tym zakończyłem. Ale muszę dodać jeszcze, że jak ojciec został aresztowany jako ten mąż zaufania na ten region tych Polaków, to całe sprawy samorzutnie przyjęła matka. I dalej prowadziła matka. I stąd dlatego jak on przyjechał to przyjechał do nas i dał znać, że on jest, że był kontuzjowany, był taki pół bezwładny, pół rozebrany, cały tam. Trochę opowiadał jak to się odbywało...

[00:30:00]

TK:... itd. I jeszcze trzeba było też to wszystko się cofnąć. Bo był np. taki moment. Już matka właściwie wymieniła wszystko. To był też bardzo dramatyczny dla osobiście naszej rodziny. Dramat chyba już ostatni. Ostatnia poduszka. I tak ktoś tam jakiś gospodarzy dawał 5 kilo pszenicy za tą poduszkę. Już nie było nic, żadnej szmatki, żadnej chusteczki, żadnego ciucha. Na pokaz że to było z Polski. I wtedy matka powiedziała: *Jeżeli mam już umrzeć*. Bo 5 osób, 5 kilo zboża tej pszenicy a co dalej. To w najlepszym wypadku te 5 kilo mogło wystarczyć na 2 tygodnie. Proszę zdać sobie sprawę, 2 tygodnie, przecież to jest. Nawet garstka dziennie nie wolno było zjeść. Taki był reżim. To matka powiedziała: *A później i tak muszę umrzeć z głodu*. To matka powiedziała, że nie: *Jeżeli mam umrzeć to ja umrę na tej*

poduszce. No ale tak jakoś szczęśliwie się skończyło. Dzięki Bogu, że poduszka została, wróciła nawet do Polski i nikt nie umarł z głodu. W tej chwili nie pamiętam dalszego tego cyklu, co i jak to się

Kaszynski_Tomasz_AW_I_332_2B

[00:00:00]

TK:... Tak czyli spór o te poduszkę. W każdym bądź razie sytuacja później jakoś tak. Czy to już była, już po bitwie Lenino. To już był 2 połowa 1943 roku. To już Rosjanie szli do przodu jednak. W każdym bądź razie front już stabilizował się. Niemiec już był właściwie w wielu wypadkach, no poważnie pobity. I sytuacja tam jakby się odbijała nieco lżej. Zaczęli już nie zabierać wszystkiego do ostatniej poszewki tam. To znaczy do ostatniego kilograma, czy ostatniego ziarenka zboża. Do ostatniego konia, do ostatniej krowy, ostatniego barana. Bo to wszystko szło dla frontu. Wszystko dla frontu. Nie wolno było. Tam kombinowali co niektórzy, to wręcz łamali dla bydła nogi...

JR: Żeby dobić.

TK: żeby dobić właśnie. Żeby na swoje potrzeby tam jakoś, tam czegoś tego mieli co. Nawet Ci miejscowi żeby nie umierali z głodu. Tam już groził głód miejscowym. No to tam kilka razy tak się udało. No ale tu jeszcze trzeba było wspomnieć było by, że do nas do Żelezinki przyjechała masa ewakuowanych z Leningradu np. rodzin. Jeszcze taka bieda była, takie to jeszcze tych rodzin dowalili. Przywieźli Niemców znad Donu. Ci co byli osiedleni do wojny, tzn. Niemcy, którzy pozostali po I Wojnie Światowej i oni mieli obywatelstwo niemieckie, tego. Oni mieli swoją kolonię. Co zresztą dziś upominają się o te swoje tereny. I oni tam. A jak Niemiec szedł do przodu to ?Stalin im nie zaufał i wszystkich do Kazachstanu wywiózł. I oni tam nawet byli. W każdym bądź razie ta Żelezinka już puchła w szwach. Tyle było narodu już na nią. Już nie mówię o Turkmenach, Azjatach różnych, bo to też tak samo. Nawet nie wiem dlaczego. Skąd Ci ludzie się brali. Zetknąłem się tam z kilkoma rodzinami np. z Leningradu. Ludzie wysocy, kulturalni. Leningrad to jest kultura. To ludzie wykształceni itd. Przyjaźniłem się nawet z tym Niemcem znad Donu. To był mniej więcej mój rocznik. Bardzo sympatyczny facet. Zresztą myśmy wyjechali, oni jeszcze tam zostali. Z tym, że ci z Leningradu już w, właściwie na początku 1945 roku wracali do Leningradu z powrotem, jak została przełamana blokada. Oni wracali do domu z powrotem. Już tak się zaczęło rozluźniać w tej Żelezince. Ja oczywiście pracuję w kinie. Matka tam szyje. No i tak jak wspomniałem,

zaczyna się odczuwać ten klimat odwilży. Czyli jakby te kleszcze spowodowane tą wojną, zaczynają się rozluźniać. Już pojawia się w sklepie jakaś tam oliwa. Powiedzmy nie dla nas tylko dla tych miejscowych. Ale już jak ma miejscowy to już jakąś tam łyżeczkę i Polak może dostać. Zaczynają już piec tu i tam chleb piekarnie. To co było nie do pomyślenia. Latami nie widziałem chleba. Stołówka już zaczęła gotować obiady. I zupa i drugie danie. Co było również wręcz nie do przyjęcia. A to dopiero był właściwie 1944 , 1945 rok. Gdzieś tak w tym czasie. I tak myśmy tak wygotowali. Tak żyli. To właściwie trudno jest zrozumieć, że człowiek mógł tyle wytrzymać, tyle przeżyć.

[00:05:00]

TK:... Tyle przejść tego wszystkiego. I przyszedł koniec wojny. Radość. Radość chyba była jedyna co obopólna właściwie. Bo wtedy myśmy to trochę wiedzieli, orientowali że już Polska jest wyzwolona, że Polska Ludowa, że tam powstał Rząd, że tam mamy wracać do kraju itd. A w między czasie jeszcze wydali nam paszporty rosyjskie. Ja już też dostałem paszport rosyjski. Miałem. Z tym, że narodowość Polak. Nacjonalność, jak to on tam tego, Polak. A niektórzy mieli tam Ukrainiec, Białorusin. Różnie tam się układały losy różnym ludziom. W każdym bądź razie jeszcze w 1945 roku próbuje stawiać na komisję poborową. I muszę przyznać, że zostałem wcielony do I Dywizji Kościuszkowskiej. Już ona była rozbita, ale była modernizowana. Tam dobierana, ów rozbijana. Chyba do Kościuszkowskiej, tak bardzo nie pamiętam. W każdym bądź razie dostaję przydział. Ale i znowuż nie dane było. Nie wiem czy miałem takie szczęście czy nieszczęście. Nie wiem jak to dziś nazwać. Za dużo szczęścia byłoby naraz. Komitet Partyjny dowiaduje się, że dostałem tzw. powiestkę, jak oni to nazywali, wcielenie do armii. Kino trzeba zamknąć. Trzeba komuś sprzęt cały przekazać. Partia powiedziała stop. I nakłada na mnie bo tzw. bronierowkę, czyli odroczenie daje. I niestety po armii znowu nic. I tak zostałem w tym kinie. Do 1946 roku pracowałem. Później dopiero w 1946 roku, to chyba w marcu, przepraszam w lutym, zabierają nam te rosyjskie paszporty i dają te karty repartarycyjne na podstawie tam umowy Polsko-Radzieckiej. Tam napętlali tam narodowościowo żydowsko-polskie tam, że powrót do Polski. I wtedy to był dopiero dowód, że już wkrótce wyjedziemy do Polski. I niebawem tak się stało. Przywieziono nas z powrotem do Pawłodaru. W Pawłodarze wsadzono nas z powrotem, niestety, ale w towarowe wagony. Z tą tylko różnicą, że wagony były otwarte. Okna pootwierane, niekratowane, nie drutowane, nie zabijane. No i bez jakiegokolwiek obstawy. Pociąg stawał co najmniej 2 razy dziennie. Każdy jak tylko pociąg stanął, to każdy gdzieś tam dwa kamuszki już palił, już tam coś sobie gotował. Bo z tym jedzeniem mimo wszystko były kłopoty. Ale tu

już pociąg stawał. Tu już przy torach już każdy sobie gotował. No bo wiadomo, że każdy na wyjazd uciulał sobie woreczek jakiegoś ziarna, jakiś woreczek kaszy, szczyptę soli, bo to już podróż. Dużo ludzi nie dogotowało tej często zupy. To z tym kociołkiem gorącym z powrotem do wagonu,. Niektórzy nawet i tam w biegu wskakiwali. Ale czekali zaraz następny, znowuż stanie. Znowu gdzieś tam podpalali i znowu tak gotowali. To była już inna podróż. Była to ja bym wyraził się, że to już była podróż wolna, ludzi wolnych. Nie zesłańców, nie skazańców jak w tamtą stronę. I ciekawe nie wiem, ile tych transportów szło tą drogą, co nas wieźli. W każdym bądź razie nasz transport ni stad ni z owąd staje. Moskwa. Dworzec Białoruski. Jest? jest Białoruski.

JR: Jest.

TK: Jest tak. Moskwa. To ciekawe. W Moskwie stoimy prawie 2 doby, na Białoruskim dworcu. Zezwolono nam wyjść...

[00:10:00]

TK:... Z tym, że ja byłem w stanie bardzo opłakanym. Ja daleko nie dałem rady zejść, ale byłem trochę na ulicach. Poszedłem z tego dworca. Tam siostra, tam młodzi, to wszyscy, aż doszli, aż Lenina oglądali. Nawet na Placu Czerwonym.

JR: Mauzoleum.

TK: Tak. Metrem jeździli itd. A ja już tak daleko z tymi swoimi kijami nie dobrnąłem. Stamtąd na drugi. Mniej więcej 1,5 doby tak stał ten pociąg. Tam nawet coś przebąkiwali, że to przez Moskwę nas będą wieźli. Chcą pokazać nam tą Moskwę itd.. Rzekomo to taka pewna ja wiem. Nie wiem co to miało być, rekompensata czy czegoś w pewnym sensie. W każdym razie z Moskwy jak wyruszyliśmy to oglądałem te. Miałem szanse zobaczyć, bo przejeżdżaliśmy, ten pas obronny, tych 28 kilometr od Moskwy, co to Niemiec...

JR: Tam gdzie Niemcy się zatrzymali.

TK: Tak. Ten pas cały obronny. Trzeba przyznać, że to było straszne widowisko. Te takie też szyny krzyżujące, olbrzymie takie przeciwczołgowe. Ta ziemia zaryta. Boże ile ona tam razy musiała być przewrócona. W każdym bądź razie gdzieś 28, 30 kilometr tak. W każdym bądź razie za Moskwą. Znaczy jak myśmy z Moskwy wyjechali to przed. I później przez Mińsk, tutaj i chyba Przemyśl, Lublin do Białegostoku. Nie przepraszam. Przez Brześć.

JR: Przez Przemysł chyba nie.

TK: Nie, nie. Dobrze przez Brześć. Bo tam szosa Wołokołamska tzw. tutaj Moskwa-Brześć. Tutaj tędy. Ta droga stale się przewijała. Przywieźli do Białegostoku. Tutaj matka powiedziała. Z tym, że transport był cały. To już chyba to 40 wagonów. Może mniej, może więcej. W każdym bądź razie był przeznaczony do Wałbrzycha. Cały transport. Ale ponieważ myśmy, jakoś tak przytrafiło się, że w naszym wagonie wszyscy byli z Białegostoku. Nawet mogę nazwiskami już teraz operować, ale to nie ma znaczenia. I wszyscy wyszli do naczelnika, czyli do stacji. To był purla częstochowski. W każdym bądź razie, że wszyscy zostają w Białymstoku. Nie chcą jechać do Wałbrzycha. No to w takim razie nasz wagon odcepili, postawili na bocznice. Ale już na bocznice tutaj przy kolejowej. Tu jest

JR: Gdzie teraz.

TK: Tak jest tam. Ona aż prawie do ulicy wchodzi. Tutaj wepchnęli. I tutaj już każdy tam na własną rękę gdzieś tam szukał sobie kąta.

JR: Może Pan powiedzieć głośniejsze kto w tym samym wagonie przyjechał do Białegostoku?

TK: No Państwo Kurkowscy...

JR: Może trafię kiedyś.

TK: Państwo Janiccy. Tomczykowie. Musiałbym jeszcze się zastanowić. Ja mam dużo tych nazwisk, ale w tej chwili nie przychodzi. A między innymi Państwo Kurkowscy to był rocznik mego brata jeden rocznik i 2 dziewczyny wiekiem zbliżone do moich sióstr. To też ciekawa jego np. była historia. Poszedł raz z bratem do wojska. Tam poprzez Monte Casino, Tobruk walczyli i do Włoch trafił. We Włoszech w każdym razie gdzieś tam jakoś był ranny, zakończył walki. I tam zdemobilizowany. Ożenił się z Włoszką i przyjechał do Białegostoku.

JR: Po wojnie?

TK: Tak już po wojnie. Z tym, że im to życie się nie ułożyło. Tam ona wyjechała z powrotem. On potem też gdzieś wyjechał. I nie wiem. A rodzina tutaj, te siostry dalej podobno mieszkają. Kontaktu specjalnie z tym nie mam. Z Tomczykiem mam kontakt. Z państwem Janickimi to też było matka i 2 córki. Też specjalnie kontaktu nie mam. W każdym

razie tu kilka osób mam kontakt. Tak specjalnie nie. Bo to człowiek kiedyś jak zamknął się, zamknął się może...

[00:15:00]

TK:... nie w sobie zamknął się. Tylko znowuż to był też w swoim rodzaju straszny okres dla nas. Przecież myśmy właściwie przyjechali w łachmanach. Zawszawione, zabrudzone. Niby wolne, ale przecież nie mieli własnej łyżki. A jak ktoś miał to jakaś drewniana łyżka. Przecież to nie to, że tam miał jakiś sprzęt. Tak jak w naszej sytuacji. Cały dorobek rodziców, 3 pokoje z kuchnią, wszystko stracili. Nigdy już się nie podnieśli. Nigdy. Ojca nie było. Ojciec wrócił dopiero w 1956 roku. To już ja się ożeniłem. Już mój syn miał chyba 2 lata.

Głos: 3 miesiące.

TK: No 3 miesiące. A matka znowuż. Matka poszła znowuż do pracy. To przecież trzeba było liczyć z tym, że ta kobieta nie miała zawodu. To poszła myć wagony tutaj osobowe. No co ona tam zarabiała. Siostra poszła tam do Urzędu Ziemskiego trochę pracować do biura. Średnia poszła. Nie wiem w tej chwili, gdzie ona tu pracowała. A ja zaraz przyszedłem do kina pracować. Już od 1 grudnia 1946 roku. Z tym, że jeszcze chyba wykorzystałem wpływy, jak otrzymałem bilet dla osiedlenia się do Wrocławia. Pojechałem do Wrocławia zobaczyć. Może tam się posiedzi. Zorientować się. Ja byłem taki trochę latawiec wtedy. Ale mi się to nie podobało. Wrocław na dobrą sprawę to przecież płonął jeszcze. To była ruina. Morze gruzów. I wróciłem. I żeśmy tu się przycupnęli. Tutaj gdzie jest w tej chwili PKS to tu była ulica Równoległa. Tu Państwo Ptakowie mieli własny domeczek. To był kolega, również maszynista, ojca. On wyjechał po wyzwoleniu. Wyjechał do Słupska. Tam zajął sobie dom i ten domek nam odstąpił, swoje mieszkanie. Bo to jego był własny domek. To był 2 pokoiki z kuchenką. To była taka ruina. Podłoga zgniła. Bo to na trzęsawisku wszystko stało. Ale mieliśmy własny dach nad głową. Z tym, że on tych mebli, co miał te swoje jeszcze przedwojenne, jakaś stół, szafa, jakieś tam łóżko, nawet nie brali tego. Zostawili to nam. I to właściwie, z tymi gratami moi rodzice powędrowali aż do grobu. Już nigdy się więcej nie podnieśli. Bo i nie mogli. Wkrótce zaraz to córka. Trzeba było dla córki też jakieś wesele wyprawić. No bo przecież normalna sprawa. Potem druga. Potem ja tam się ożeniłem. No mój Boże jeden po drugim. A z czego wszystko no z czego. Z tych paru złotych co tam się zarabiało chociażby na PRL-u. Te pierwsze początki. A pierwsze początki to w ogóle nie płacili. Tam jakiś kawałek, bochenek chleba dali i to wszystko. Później zaczęli tam płacić

200, 300 złoty miesięcznie. A co za to można było kupić. Nic. Pierwsze ubranie pamiętam to ja w kinie dostałem 3 metry materiału, w taką jodelkę. Takie na ubranie.

JR: Też jeszcze na talony kiedyś jeszcze.

TK: Tak, tak. No to do zakładu pracy. To było takie więcej pokrzywy jak tego materiału. Co to. I to był chyba już rok 1947. Tak w 1947 roku dostałem te 3 metry na ubranie. Co to była za radość. To była tak olbrzymia radość, że ja szedłem jakbym kija połknął. Poły pełne gruzów. Ja miałem własne ubranie po tylu latach. To znaczy od 1940 roku, od zsyłki na Sybir. We własnym ubraniu. I to ubranie. Nie kufajka jakaś tam na gołe ciało i pełna robactwa. Jak położył to ona cholera szła. To tylko to są słowa. Ale to się wczuć i żyć w tym. To nie taka prosta sprawa. No i cóż to więcej można dodać. No a brat między innymi bo przez tam właśnie też Monte Casino. Potem

JR: Bolonia chyba.

TK: Marek był gdzie tam?

G: Libia?

TK: Lel gdzie był?

G: No w tym.

TK: Tobruk. Nie.

G: Tobruk.

TK: W Tobruk o O. Przez Tobruk, Monte Cassino. Też tam był w Palestynie. Tam gdzieś tam był ranny 2 razy. I trafia do Anglii. W Anglii zostaje go koniec wojny. Zostaje zdemobilizowany. O nas nic nie wie, bo przecież gdzie to z Kazachstanu wyjechał.

[00:20:00]

TK:... I tam postanawia żyć. Tam w między czasie się ożenił. Tam ciężko pracował. Pływał na statkach dalekomorskich, rybackich. Nabawił się choroby. Między innymi gruźlica płuc itd. I tak biedak jeszcze jakoś w 1970 chyba. W 1970 roku, przed śmiercią. Już później się dowiedzieli, jakoś się skontaktowali to 2 razy przyjechał. Raz przyjechał na złote gody rodziców. Tak?

G: Tak, pierwszy raz.

TK: Pierwszy raz na złote gody matki i ojca. A drugi raz biedak przyjechał żeby się pożegnać, bo wiedział że już umiera.

G: Miał raka płuc.

TK: W pierwszych dniach stycznia się pożegnał. I wyjechał. Wrócił do Edynburga. Bo on mieszkał w Edynburgu. I 20 grudnia zmarł. Tak się potoczyły nasze, losy naszej rodziny. Matka pierwsza zmarła też w 1974 roku. Ojciec zmarł w 1981? Już Solidarność powstała.

G: A w 1980 roku.

TK: w 1980 roku powstawał Solidarność. Biedak nie doczekał się tej wolności. Piłsudskiego powrotu. Godła itd. A to przecież był.

G: On tym żył.

TK: Tym żył tak. Całe swoje lata tym żył niestety. To trzeba powiedzieć sobie. Był głębokim. To był olbrzymi patriota, który. Ja nie mam nawet, nie mam słów do wypowiedzenia tego. I szkoda, wielka szkoda, że nie dożył chociaż tego czasu pierwszego początku Solidarności i powrotu tej praktycznej, faktycznej wolności. Powrotu z rehabilitacji Piłsudskiego itd. I zmarł. Została tylko najstarsza siostra, średnia i ja. Mieszkamy wszyscy troje tu w mieście. Starsza siostra jest bardzo chora. Ma tam jakiegoś choroby kręgosłupa. Tam ma jakieś raki tych szyjek, coś tam tego. W każdym razie ani stać ani leżeć. Już teraz jest na 2, 3 operacji gdzieś tam pod Warszawą. A tutaj ta siostra jest na emeryturze. W redakcji pracowała cały czas. Całe swoje życie. To znaczy końcówkę już tutaj. No a ja w kinie. I z kina przeszedłem na emeryturę.

JR: A ja jeszcze mam jedną prośbę. Czy może Pan opowiedzieć o tej jedynej rzeczy, która przeszła z Panem całe te wygnanie, to wszystko?

TK: A to ja opowiadałem poprzednio Pani.

JR: Tak, ale.

TK: To jest takie popiersie Piłsudskiego. Bo to też, to było ja muszę Pani przyznać, no moje pierwsze bardzo głębokie przeżycie. Chociaż ja miałem 8 lat, około 8 lat 1935 rok. 8 lat.

JR: Śmierć Piłsudskiego.

TK: Tak zgon Piłsudskiego. To wiele na pewno ludzi starszych i młodszych może ode mnie pamiętać. To była straszna. Przynajmniej z mojego punktu widzenia, z mojej rodziny, z mojego środowiska. Jak tu wspominałem. O tej hołubionej ojca legionów itd. I raptem śmierć Piłsudskiego. To były wieczornice. To były. Ja chodziłem do 2 klasy. 1935 rok, tak 2 klasa. Wiersze, akademia. To msze żałobne. To była niesamowita historia. Krótco już po tym pogrzebie, pokazały się właśnie w mieście statuetki. To były chyba z ołowiu. Pokazywałem Pani z ołowiu. Tam stoi na telewizorze. Z ołowiu odlana. I tak mi się to bardzo podobało. I poprosiłem żeby mi matka kupiła. Nie wiem ile to płaciła za to. Ale to nie istotne jest. No kupiła mi to w 1935 roku. I kto by to pomyślał, że to w 1940 roku 13 kwietnia, że to trafi. Ja uważam, że to. Wydaje mi się, że to do mojej ręki trafiło i ja to zabrałem. Choć tak 100 procent nie jestem pewien, ale to chyba, bo ja się kochałem w tej figurce i prawdopodobnie jednak ją zabrałem. I...

[00:25:00]

TK:... całą Syberię przetrwała. I ta figurka wróciła z powrotem ze mną. Nic nie było z Polskiego. Jak wspominałem Pani, szmatki nie było już. Ale figurka została. I ta figurka dziś stoi. Jakiś czas jeszcze stała u ojca w mieszkaniu, póki żył. No bo ten człowiek chciał tego.

JR: A innych nie było w tym czasie. Nie można było kupić.

TK: Skąd.

JR: Wiem

TK: To już po wojnie, to tych rzeczy to wręcz były zakazane nawet. Ja nie wiem tam jeżeli ktoś miał to miał ukryte w domu jeszcze, często schowane i często nawet nie mówił. A tylko ten kto miał, przed wojną nabył, to ten miał. A już później to przecież nie było tego. O i później po śmierci ojca już ja wziąłem i kontynuuję dalej tak jakby ona wróciła do mnie z powrotem. Bo ja się uważam właścicielem tego. No bo pod moją namową. I ta figurka przeszła te wszelkie burze, zawieruchy, głody, nieszczęścia. I nawet często nie zdawałem sobie sprawy. Często miesiącami zapominałem, że ona w ogóle jest. Tym bardziej w tych. To się tak mówi 6 lat. To jest aż 6 lat. Czy tylko 6 lat. To różnie to było, ale to jest olbrzymi w tych warunkach, w tym klimacie, w tym w ogóle nieszczęściu to jest bardzo długi szmat drogi. Oczywiście, że ludzie w łagrach, obozach mieli jeszcze gorzej. No ale mój Boże

JR: Ale to nie były dzieci

TK:... my byśmy byli w pewnym sensie dzieci. To były matki i dzieci. Lub dzieci i matki. Często jeden drugiego często chował. To matka chowała dziecko, lub nawet dziecko chowało matkę i zostawało same. Tak było. I tak wielu rodzinom się potoczyło. Bo znam bardzo dużo. Dużo brałem udziału, sam często grób kopałem. I nawet tak jak wspomniałem, że już nie było nawet prześcieradła, czym zawinąć. Takie były to tragiczne nieszczęścia ludzkie. I przecież to tylko były dzieci. W sumie, no bo jednak zawsze. Jeszcze jak wtedy miały 13, 14, 15, 16, 17, ale to zawsze wszystko dziecko. Mój Boże kto to za sobą takie olbrzymie ciężary i takie prace, które są nie do pomyślenia. Moi rówieśnicy tu będąc w Białymstoku, oczywiście, że oni prędzej mogli zginąć od kuli. To prawda jest. Ja tego nie neguję, ale oni nigdy nie zaznali głodu na dobrą sprawę. Oni nie wiedzą co to jest głód. Co to szmaty nie mieć na nogi czy na plecy. To jest co innego. No ale to znowu jestem wredny historyk. No i tyle tej takiej opowieści było.

JR: Dziękuję bardzo za tę opowieść.

TK: Proszę